

SARMACKI FANTOM

AGATA ARASZKIEWICZ

„Proszę państwa, 4 czerwca skończył się w Polsce komunizm”...

Dwadzieścia lat po upadku komunizmu w Polsce, 4 czerwca 2009 roku w Brukseli wylądował pomalowany na złoto samolot Polskich Linii Lotniczych LOT. Na pokładzie było około setki ubranych w złote skafandry emisariuszy z Polski. Uformowali oni egzotyczny pochód i przedelflowali przez miasto, zatrzymując się w jego ważniejszych punktach, takich jak instytucje Unii Europejskiej i pełen zabytkowych kamienic rynek starego miasta, Grand Place. Złote ludziki na skafandrach miały wszywki w rodzaju pin upów z napisem: „To zaczęło się w Polsce”... Wydarzenie było akcją artystyczną jednego z ważniejszych współczesnych polskich artystów, Pawła Althamera. Tworzy on sztukę partycypacyjną; złoty tłum składał się z mieszkańców jego bloku w jednej z robotniczych dzielnic Warszawy. Wdzięczny gest włączenia anonimowego szarego człowieka (w tym wypadku ubranego na złoto) w Wielką Historię ma tu charakter partycypacji w historycznej debacie, w „walce” o polską historię na Zachodzie. Jednak dla mieszkańców Brukseli, przywykłych do manifestacji, znaczenie tego korowodu nie było łatwe do rozszyfrowania (gdy zgłodzi

pielgrzymi jedli frytki na rynku, zaciekawieni przechodnie, których kraj słynie z rozmaitych odmian tego przysmaku, pytali, jakich frytek robią reklamę...).

Tak, zanim mur berliński runął na dobre, zaczął się kruszyć pod wpływem wydarzeń Okrągłego Stołu w Polsce. W październiku 1989 roku znana polska aktorka, Joanna Szczepkowska, komentując triumf podziemnego ruchu „Solidarność” w pierwszych półwolnych wyborach, powiedziała wzruszona w telewizji: „Proszę państwa, 4 czerwca skończył się w Polsce komunizm”... Dlaczego jednak Polacy dwie dekady później muszą z nadmierną emfazą upominać się o swe miejsce na Zachodzie? Czy przegrali walkę o pamięć z potężniejszym sąsiadem, Niemcami? Czy też niepewni swego miejsca muszą ustawicznie sami sobie o tym przypominać, przenosząc niepewność na projekcje swego odbicia w zachodnim spojrzeniu?

Akcja Althamera ma, w moim rozumieniu, wszelkie cechy peryferyjnego kompleksu niższości z właściwym dla niego przymusem, natręctwem powtarzania własnej awangardowości, by udowodnić własną wyższość. A przecież Polakom przysługuje pierwszeństwo w obozie +

postkomunistycznych zmian w Europie Środkowo-Wschodniej. Można by sądzić, że winno to skłaniać do namysłu nad wizją modernizacyjną w budowaniu trwałych procesów demokratycznych fundujących nowoczesne państwo. Z różnych powodów stało się inaczej. Transformacja przyniosła obudzenie nastrojów ksenofobicznych i syndrom „obłężonej twierdzy” Polaków – „zdradzonych w Jałcie” podczas II wojny światowej, zdominowanych przez „mocarstwa ościenne” podczas XVIII-wiecznych rozbiorów, które wymazały państwo z mapy Europy. Zamiast widzieć w sobie aktorów zmian, na których spoczywa odpowiedzialność za przyszłość, Polacy w sensie zbiorowym po raz kolejny poczuli się ofiarami historii, kolonizowani tym razem przez zachodni kapitalizm. Niemożność konfrontacji z taką teraźniejszością zaowocowała ucieczką w przeszłość – historyzacją polityki (zwłaszcza za rządów braci Kaczyńskich), a także przemieszczeniem debat politycznych na sfery obyczajowe i światopoglądowe (zakaz aborcji oraz wprowadzenie zajęć z religii katolickiej do szkół są jednymi z pierwszych praw nowego porządku). Mówiąc symbolicznie, Polacy pod okupacją sowiecką (w okresie PRL-u), a wcześniej długie lata pod zaborami nie wykształcili głębinowych struktur myślenia o swym państwie (o którego niezależność nie trzeba już walczyć) w sposób samodzielnie zorientowany na przyszłość, a w transformacji najzwyczajniej się zagubili. Nostalgia za przeszłością, eksponująca megalomański kompleks rozdrapywania ran i nadawania im rangi zwycięstw, nie dała odpowiedzi na pytania o tożsamość. Czy Althamer wiedział, czego szukał w Brukseli? Bo czyż w gruncie rzeczy jego manifestacyjna deklaracja polskiego kompleksu wyższości-niższości poza kwestionowaniem historii (w sensie stawiania wobec niej problemów) nie jest gremialną deklaracją niepewności własnej tożsamości? I czy w ogóle tę tożsamość można w taki sposób odnaleźć? Innymi słowy: kto „ukradł” Polakom ich historię?

Śmiałe spoglądanie w przeszłość: złoty skafander a „złoty wiek”

Wybór kostiumu w inscenizacji „walki z historią” Althamera nie jest bez znaczenia. Sam artysta przyznaje się do fascynacji afrykańskimi Dogonami, zamieszkującymi w Mali. Wyróżniają się oni doskonałą znajomością astronomii, a sami uznają się za potomków istot przybyłych z kosmosu. Złote skafandry Polaków lądujących w Brukseli były swoistym hołdem dla mitologii Dogonów. Równocześnie jednak ten „egzotyzujący rys” i dalekie szukanie paraleli, nasuwających kolonialne skojarzenie, w głębinowym sensie wyobraźni zbiorowej przywodzą na myśl analogię zakorzenioną już w polskiej historii.

O Sarmatach pisał starożytny geograf Ptolemeusz z Aleksandrii (II w. n.e.), który wyróżnił Sarmację Europejską i Azjatycką. Do tej genealogii odwoływali się od XV wieku polscy kronikarze (Wincenty Kadłubek), a także pisarze renesansu, tacy jak Maciej Miechowita i Marcin Kromer. To właśnie oni, opisując ekspansję Sarmatów jako „wędrówkę”, czy „przepędzenie”, przyczynili się do uformowania mitu Sarmaty jako specjalnie predestynowanego **ze względu na obce pochodzenie** do sprawowania władzy w Polsce i na wschodnich rubieżach Europy. Ujawnia to kryptokolonialny charakter tego mitu, wskazując równocześnie na swoiste pęknięcie w statusie sarmackiej tożsamości, zawieszona między Wschodem a Zachodem.

Jeden z najsłynniejszych XVI-wiecznych publicystów polskich, Andrzej Frycz Modrzewski, nazywał ostatniego dynastycznego króla polski, Zygmunta Augusta, „władcą Sarmacji”. Jednak dopiero po wygaśnięciu dynastii Jagiellonów ta kultura przeżyła swój „złoty wiek”. Przypadł on na czas wolnej elekcji – szlachta na sejmach przyznała sobie prawo jednomyślnego wyboru

króla (w większości wypadków cudzoziemskiego), który z kolei musiał potwierdzać i nadawać jej kolejne przywileje. Zwykło się określać ten ustrój „demokracją szlachecką”, nawet jeśli szlachta stanowiła mniej niż 10 procent narodu (liczbę i tak imponującą). Bez popełniania nadmiernych anachronizmów można powiedzieć, że polska szlachta jako klasa, pielęgnując formę feudalnej hierarchii, cieszyła się wyjątkowo uprzywilejowaną pozycją we własnym państwie (kosztem innych stanów: mieszczaństwa i chłopstwa), a usprawiedliwiała ten stan swą „etniczną odmiennością”.

Mit sarmacki był pierwotnie także mitem militarnym. Odwoływał się do wojowniczości starożytnych Sarmatów, a kierunek ekspansji wojennej wiódł na Wschód. Apogeum potęgi Polski sarmackiej przypada na rok 1600, gdy jej terytorium sięgało „od morza do morza” (Bałtyckiego po Czarne – co do dziś wzbudza nostalgię). Miarą imperialnych ambicji były tak zwane dymitriady (1609–1613), czyli polskie najazdy na Kreml, by wprowadzić na tron carski Polaka. Metaforycznie cywilizacyjną naówczas przewagę Polaków oddaje scena ze współczesnego rosyjskiego filmu o tytule *Rok 1612*, w którym atak polskiej husarii (ciężkozbrojni rycerze na koniach mieli charakterystyczne skrzydła z piór na plecach, wydające głośny świst) rosyjskie dzieci nazywają „najazdem aniołów”¹.

Koronacją militarnej sarmackości był dogmat „przedmurza chrześcijaństwa”, wedle którego Polska była tarczą Europy przed muzułmanami, zapewniającą bezpieczeństwo światu rzymsko-katolickiemu jako jego najdalej wysunięta na wschód przedstawicielka i propagatorka. Łączy się to z poczuciem bycia „narodem wybranym”,

czyli z mesjanizmem sarmackim, nasilającym się od XVII wieku. Zwłaszcza gdy imperialne plany Sarmatów wzięły w łeb – po antypolskich powstaniach na Ukrainie oraz napaści Szwedów na Polskę, zwanej potopem (to wówczas wschodnioiońkoniczny wizerunek Czarnej Madonny w niezdobytym przez Szwedów klasztorze w Częstochowie stał się otoczoną idolatrią ikoną, Maryja patronką narodu polskiego). Pierwotna sarmacka tolerancja obyczajowa i religijna zamienia się wtedy w zacieśniony, wyrazisty i ksenofobiczny model Polaka (czyli szlachcica) – katolika.

Nim jednak sarmackie imperium zaczęło się kurczyć, a Polacy przegrali ostatecznie walkę z Rosją o dominację na wschodzie Europy, Polska na większości swojego terytorium zaznała rzadkiego w historii, długiego okresu pokoju i prosperity (imperialna ekspansja na wschód także w końcu przynosiła dochody). Pozwoliło to na rozkwit sielankowego modelu życia ziemiańskiego, skupionego wokół domu – szlacheckiego dworu (w architekturze zachodnio klasycyzującej zwłaszcza gankiem z tympanonem wspartym na kolumnach). Rytm życia uległ silnej rytualizacji i podległy był nie tyle zasadzie „gry” (hołdującej współzależnościom tworzącego się nowoczesnego życia społecznego), ile „przedstawienia”, promując egzystencję rodzinną, afirmującą się w powtarzalnych obyczajowych formach. Spektakularność była naczelną cechą niezliczonych uczt, balów, biesiad, ślubów, karnawału, kuli-gów, polowań, pojedynków, odpustów i procesów sądowych.

Towarzyszyła temu teatralizacja stroju, pełnego przepychu i ostentacji – jeden ze staropolskich sarmackich poetów Szymon Starowolski tak go opisał:

„Pstrzy się jak dzieciół Polak, złoto, ryśno, piórno,
Szmelce, kamyczki lśnią się, a myśl lata górno.
Ferezyje, żupany, czupryny pogańskie,
Nad wymyśły – a stąd zbytki rosna, cuda pańskie”. †

¹ Polacy pokazywani są w tym filmie jako krwawi despcoci – bez wątplenia rosyjski nacjonalizm obudził polski, co tłumaczy nieobecność filmu w polskich kinach.

Zbytkowość i upodobanie do futer, klejnotów, zdobionej broni ujawniały silne wpływy orientalne. Szlachcic-Sarmata nie tylko w swym dworze rozkoszował się widokiem perskich dywanów czy makat, a w jego kuchni dominowały pieprz i szafran, ale on sam także nosił strój wschodni, który stał się polskim strojem narodowym. Na żupan nakładano kontusz z obszernymi rękawami lub delię w wypadku chłodów, na nogi szarawary, okrycie głowy stanowił kołpak z czaplami piórami, do pasa przypinano szablę (charakterystyczną dla koczowniczych ludów Azji, w przeciwieństwie do europejskiego miecza). Najważniejszym elementem był przepasujący kontusz barwny pas, zwany pasem słuckim (najsłynniejsze pasy pochodziły z miejscowości Słuck na Litwie). Długą i szeroką jedwabną wstęgę, bogato zdobioną we wzory tureckie i perskie, obwijał wokół pasa specjalnie szkolony służący. Rzecz charakterystyczna: pasy słuckie, prócz rodzimych manufaktur (tzw. persjarnie – od Persji), produkowały dla polskich wielmożych przędzalnie i w Turcji, i we francuskim Lyonie.

Wśród fryzur dominowały podgolone czaszki z włosami w kształcie sterczącego czuba. Twarze zdobiły wyraziste sumiaste wąsy. Sarmacka stylizacja, próbując afirmować odrębny idiom tożsamościowy, ujawnia programową antynowoczesność w okresie narodzin i rozwoju kapitalizmu w Europie. W czasie słynnej odsieczy Wiednia w roku 1683, gdy król Jan III Sobieski zadał druzgocącą klęskę Imperium Osmańskiemu, oddziały polskie tak bardzo przypominały Turków, że dla odróżnienia od nich musiały dekorować hełmy słomą. Sam Sobieski był wielbicielem i apologetą sarmackiej mody, trzymał nawet specjalnego pościa na Krymie, który prócz wieści politycznych słał informacje o najnowszych trendach w modzie otomańskiej.

Naczelną zasadą wpisaną w konstrukcję sarmackiego mitu jest zwrócenie się w stronę prze-

szłości oraz nostalgiczna konserwacja pamięci. „Złoty wiek” dawno minął, a teraz trwamy w jego mniej barwnym przedłużeniu. Z biegiem XVII wieku, gdy kraj podupadał, a jego ustrój się degenerował, w propagandzie sarmackiej utarło się przekonanie, że Rzeczpospolita jest „spichlerzem zbożowym” i jako taka jest Europie niezbędna. Jej system polityczny (wspomniana już demokracja szlachecka) jest tak doskonały, że tylko trwanie w pasywnej niezmienności zapewni mu dobrobyt. Ujawnia to swoistą dwutorowość kultury polskiej: jej wewnętrznie pękniętą tożsamość (zachodnią wschodniość i wschodnią zachodniość), a także postępujące dystansowanie się wobec cywilizacji Zachodu. Jak pisze Maria Janion², orient modny był i na Zachodzie, ale to w Polsce stał się nie tylko egzotycznym ozdobnikiem, lecz także fundamentalną częścią składową sarmackiej kultury. O ile wpływy zachodnie widać głównie w polskiej literaturze, architekturze czy nauce, o tyle model życia codziennego, styl, a w końcu i mentalność i sposób funkcjonowania przesiąkły Wschodem. Pewny swej tożsamości Sarmata wchłaniał wschodniość, równocześnie kwestionując swoją zachodniość...

Od imperium do peryferii: folklor zamiast nowoczesności

A jednak historycy cywilizacji są zgodni: ostatni raz to w XV wieku Polska przypominała średnio rozwinięty kraj zachodu Europy. Od czasów Sarmatów cywilizacyjna przepaść zaczęła się pogłębiać, prowadząc do obecnego zapóźnienia cywilizacyjnego określanego czasem jako „rozwój niedorozwoju” (wedle Jerzego Jedlickego) – nie chodzi tylko o wskaźniki gospodarcze, ale o całość ogólnie rozumianej dynamiki społecznej i poziomu życia. Wynika z tego jasno, że mit sarmacki w dużej mierze powstał (i trwa do dziś) jako mit **kompensacyjny**.

² M. Janion, *Niesamowita Słowiańszczyzna*, Kraków 2006.

W powszechnej polskiej świadomości Rzeczpospolita sarmacka funkcjonuje jako system doskonały, który przypadkowo z czasem uległ wypaczeniu. Ograniczenie władzy elekcyjnych królów dało szlachcie polityczną autonomię, a szlacheckie dwory (czy rezydencje magnackie) stały się minipaństwami, rządzącymi się własnym prawem. Dość szybko jednak stan szlachecki uległ rozwarstwieniu, a partykularne interesy oligarchów z latyfundiów na wschodzie kolidowały z interesem państwa. Co znamienne, postępującej przepaści w dochodach towarzyszyła ideologiczna minimalizacja różnic i przekonanie o doskonałej, „wywyższającej” jedności polskiej szlachty – walczącej z królewskim „absolutyzmem” i podatkami. Na Zachodzie zaczynają dominować silne monarchie, w których względna równowaga hierarchii społecznej gwarantowana jest przez władzę króla, a bezpieczeństwo państwa przez stałe wojsko, rekrutowane z chłopstwa. Do głosu dochodzi mieszczaństwo, na którym oprze się i gospodarka kapitalistyczna, i współczesna pluralistyczna demokracja. Rzeczpospolita sarmacka tymczasem uprzywilejowuje przez ponad 150 lat jedną warstwę społeczną, która inne stany zwyczajnie ciemnieje i marginalizuje. Monoagrarna gospodarka folwarczna wymusza zdobywania nowych ziem – trwa więc parcie na wschód i przymusowa kolonizacja Ukrainy (polskie podręczniki mówią o jej „inkorporacji”). Prymat życia wiejskiego przypomina kolonialną atmosferę wielkich plantacji – szlachta dąży tylko do trwania w takiej rzeczywistości, ani myśli o nowoczesności czy rozwoju. W tym kontekście trudno mówić o sarmackim modelu społeczno-gospodarczym jako wzorcu alternatywnym wobec Zachodu, skazanym na upadek tylko dlatego, że zaistniał „za wcześniej”.

Polacy uwielbiają powtarzać, że kultura sarmacka ze względu na swą otwartość rozciągała daleko swe wpływy – po Wołoszczyznę, Rosję i Prusę. Jej rzeczywista atrakcyjność dla innych,

poza barokowym decorum (barok to kulturalny rozkwit sarmatyzmu), jest trudna do udowodnienia. „Demokracja szlachecka nigdy nie istniała” – prowokacyjnie ogłosił jeden z wybitnych znawców Europy Wschodniej, francuski historyk Daniel Beauvois. Polacy, usprawiedliwiając swą wyższość ze względu na „obce” korzenie, zachowywali się wobec własnych chłopów i na poddanych imperialnej ekspansji Wschodzie niczym „powołani przez Boga” hiszpańscy konkwistadorzy w Ameryce.

Sarmatyzm pomimo swego pełnego marnotrawstwa przepychu i wylewnej rozrzutności (jeden z obyczajów nakazywał tuczenie kryształowego kielicha po spełnieniu toastu na znak, że po znamienitym gościu nikt więcej pić z niego nie może) był głębino ufundowany na braku. Jak przekonująco dowodzi historyk kultury młodszego pokolenia, Jan Sowa: „specyficznie polski wzór państwowości – demokracja szlachecka – okazał się raczej wzorem braku państwowości”³. Wtórny feudalizm sarmackich folwarków i brak cech typowych dla nowożytnej nowoczesności (rozkwit miast, systemu monetarnego, przemysłu itd.) ugruntowuje polskość-jako-brak. Tymczasem Polska sarmacka dążyła do reprezentowania Zachodu w oczach Wschodu, który widziała jako przestrzeń afirmacji swej autoidentyfikacji i swego zaczepienia w symbolicznych strukturach cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Równocześnie za Sarmatów, wśród dewocji i pańszczyzny, Polska podryfowała w stronę pozycji porównywalnej do krajów Trzeciego Świata. Chaos swego państwa Sarmaci przykrywali halucynacjami o wyjątkowej wyższości, odrębnym pochodzeniu i szczególnym powołaniu. A ich dogmaty „spichlerza Europy” czy „przedmurza chrześcijaństwa” stanowiły raczej dowód na peryferyjny udział Polski w cywilizacji

³ J. Sowa, **Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z formą**, Kraków 2012.

zachodniej. W tym kontekście Rzeczpospolita była ufundowana na „braku”, przykrytym folklorystyczną dekoracją przepychu i nadmiaru.

Fantomowe ciało króla Jana Sowy – króla, którego „polityczne ciało”, zakrzywane przez elekcyjną szlachtę, nie miało konsystencji – to Rzeczpospolita umierająca za życia. Horrendalna wystawność to w sensie psychoanalitycznym teatralizacja nadmiaru niedozwolonej rozkoszy, związana z „bezprawnym” objęciem władzy przez szlachtę i uśmierceniem figury ojca/króla. Demokracja szlachecka jako „wspólnota panów braci”, wśród których król był tylko *primus inter pares*, ukształtowała się więc jako występna, kazirodcza organizacja przyjemności. Cieleśność tej rozkoszy skoncentrowana jest regresywnie głównie na fazie oralnej, o czym świadczy zarówno fizjonomia wydatnego brzucha (niektórzy badacze mówią o „autonomizacji sarmackiego brzucha”), jak i uprzywilejowanie form oralnych w retoryce (staropolska swada) i literaturze (jej głównym gatunkiem jest gawęda szlachecka). U swego zarania szlachta jako podmiot polityczny nie ukształtowała się więc jako kapitalistyczny podmiot pragnienia, ale konserwatywny, quasi-feudalny podmiot popędu (podczas gdy pragnienie prowokuje do transgresji, popęd zadowala się odtwarzaniem ład).

Popędowa organizacja rozkoszy wskazuje na zachowawczość kultury szlacheckiej. Skoncentrowana jest ona na upartej próbie przywrócenia utraconego stanu i dąży tym samym ku realizacji popędu śmierci. Pośród ceremonii szlacheckich najważniejsze były rytuały pogrzebowe – pompa funebris. Przygotowania do nich trwały nieraz latami. Religijne uroczystości poprzedzała procesja, na czele której jechał *archimimus* w zbroi zmarłego, odgrywający jego rolę. Najwybitniejszym przykładem sarmackiej sztuki są portrety trumienne. Malowano je tak, aby przedstawić zmarłego w sposób jak najbardziej

„żywy”, uzmysłowić jego fizyczną obecność. Nawet obyczaje pogrzebowe pokazują szlacheckie zadufanie i zadowolenie z przywilejów stanu.

Afirmatywny kult tanatyczny obrazuje nakierowanie sarmackiej uwagi na libidinalne obsadzenie śmierci i nieświadome pragnienie samouniżenia. Zabory dokonane przez trzy ościennie mocarstwa (przy czynnej kontrybucji paru polskich magnatów) są dopełnieniem tej dynamiki. Demokracja szlachecka, a raczej rządy oligarchii magnackiej, są rozciągniętym w czasie zamachem politycznym na siebie i własne państwo. Ironia historii pokaże, że modernizacji na ziemiach polskich dokonali zaborcy (uwłaszczenie chłopów, rozwój miast, industrializacja, ukapitalistycznienie gospodarki, upowszechnienie szkolnictwa, rozwój administracji). Kres Rzeczpospolitej nastąpił w chwili triumfu nowoczesności, a polskie w nią wejście nie odbyło się w sposób organiczny, lecz antagonistyczny. Zabory ukoronowały polskie peryferyjne zmagania z formą.

Polska, kolonizując Wschód w imię Zachodu, zostaje rozdarta przez dwa mocarstwa zachodnie i jedno wschodnie. Jej zachodniość zostaje podważona przez encyklopedystów i oświecenie (Diderot pisał o „polskim kołtunie”, a Rousseau, niby chwając, ganił system polski, który w swej anarchii cudem trwał). Saska manufaktura porcelany w Miśni produkowała figurki polskich Sarmatów wśród innych egzotycznych serii Murzynów, Tatarów, a nawet... małp. Z sarmackich cnót zostaje pamięć o samowoli i warcholstwie „sobiepanków” i ich pogardzie dla dobra publicznego. Żeby zamienić ten „folklor” w jakąś przydatną nowoczesności opowieść, można tylko zamknąć czytanie sarmatyzmu jako opowieści o polskiej wielkości oraz przeanalizować postkolonialnie i od nowa historię jego kultury (bogatej barokowej poezji, literatury pamiątkarskiej, myśli zarówno politycznej, jak i historiozoficznej oraz materialnej formy).

Solidarność: modernizacja i sarmacja

Ostatnie 300 lat historii Polski podmywane jest przez stałe zagrożenie „nieobecnością”. Utrata niepodległości nastąpiła wskutek trzech rozbiorów – ciekawe jest, że ich zdarzenie poddane jest przymusowi repetycji (jak jakaś prawda, która domaga się uznania). Niektórzy historycy zwracają uwagę na poprzedzający o ponad 100 lat pierwszy rozbiór traktat z Radnot z 1656 roku – zawarty w okresie największej zawieruchy XVII wieku, po której Rzeczpospolita już się podniosła. Dzielił on Polskę *de iure* między Szwecję, Prusy i Ukrainę... W perspektywie długiego trwania II wojna światowa przyniosła kolejne „natrętne” powtórzenie gestu zaborów: Austria i Prusy w zjednoczonej formie III Rzeszy oraz Rosja w swej bolszewickiej wersji dzieliły między siebie polskie ziemie mniej więcej wedle granic XVIII-wiecznych zaborów. Gdyby uznać, że II wojna światowa była w zasadzie zamrożeniem konfliktu, który wybuchł podczas I wojny (wskazując, że po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku politycznie Polska żyła ponownie mitem ekspansji na Wschód – powrotu na swe „kresy wschodnie”), można, jak dowodzi Jan Sowa, wnioskować, że rozbiorów było pięć, a polska nowoczesność jest na nich symbolicznie ufundowana.

Mamy więc pięciokrotne powtórzenie skolonizowania, nierozpoznany własny kolonializm, sarmacką butę, niezliczone narodowe powstania, przelaną krew i kompleks Polski jako samotnej ofiary. Martyrologia narodowa, bazująca na micie wyższości i odmowie współdziałania z rzeczywistością, okazała się najbardziej trwałym mitem Polski nowożytnej. Im więcej nieszczęść, tym bardziej zachowawcze ich wytlumaczenia. Można wskazać na próby krytycznych ich przewartościowań w romantyzmie: Adam Mickiewicz na podstawie historiozoficznych tez Joachima Lelewela przedefiniował polski

mesjanizm w stronę wolnościowej, egalitarnej ideologii uniwersalizującej („za wolność naszą i waszą”), którą w czynie realizował między innymi jeden z najsłynniejszych polskich powstańców, Tadeusz Kościuszko, w Stanach Zjednoczonych. W sytuacji postępującej degradacji kondycji „polskości” pod zaborami zwyciężała jednak pospolita wersja mesjanizmu, zwana epigońską, oparta na polskim cierpiętnictwie.

Uznając za zasadne żonglowanie historycznymi perspektywami po to, by w skrócie pokazać współczesną narodową polską tożsamość, można powiedzieć, że pierwszą oddolną modernizacyjną siłą, której udało się w sposób pokojowy rozpocząć przekształcania polskiego paradygmatu (przez zwyciężyć klątwę zaborów), była „Solidarność”. Jako masowy ruch społeczny liczyła w chwilach szczytowych ponad 10 milionów ludzi. Odwołując się do tradycji związkowych, stała się czymś więcej niż tylko ruchem politycznym – była powszechną postawą światopoglądową, stylem myślenia i bycia. Gdyby „przeczytać” „Solidarność” nie tylko w terminach „politologicznych” (walka z totalitarnym terrorem), ale przede wszystkim kulturowych, okaże się, że zamiast marszu ku nowoczesności powracają sarmackie rozterki.

Zanurzona w oporze wobec sowietyzacji sfery publicznej, „Solidarność” epatowała stylem „zachodniości”. Słuchano zachodnich, wolnościowych stacji radiowych, w stylu noszenia wyraźnie zaznaczała się stylizacja na zachodnie ruchy kontrkulturowe. Przykładem jest słynna dzinsowa kurtka, w której występuje na typowych trójczłonowych zdjęciach dokumentujących aresztowanie jeden z najważniejszych przywódców walki podziemnej z dyktaturą, Adam Michnik, w 1965 roku (w latach 90. o tej samej kurtce jedno z kolorowych pism kobiecych, nie zważając na jego wrzuszającą konsekwencję i umieszczając Michnika w „Rankingu najgorzej ubranych +

mężczyzn”, pisało: „ta sama abnegacja po latach nie cieszy, lecz smuci”). Podobnie znaczenie słynnego „opornika” (fragmentu instalacji elektrycznej indukującego opór prądu), który noszono wpięty w ubranie na znak politycznego oporu, można odcyfrowywać jako podkreślenie „zachodniości” przeciw Wschodowi. Już sama ikonografia napisu „Solidarność”, wedle jej projektanta, Jerzego Janiszewskiego, odwoływała się do typografii ruchów hippisowskich lat 70. i ich znaku Victory (sam John Lennon podobno sympatyzował z „Solidarnością” i miał zagrać w rocznicę strajków z Sierpnia 1980 roku). Ta „wizualna” fascynacja Zachodem znajduje swą kumulację w plakacie Tomasza Sarneckiego z Garym Cooperem z filmu *W samo południe*, reklamującym zwycięstwo „Solidarności” (kommentując wyparcie kobiet, działaczek podziemia z solidarnościowego mitu i umieszczając w centrum plakatu sylwetkę kobietą, odniosła się do tego plakatu chorwacka artystka Sonia Iveković w swej pracy *The Solidarity's Invisible Women 1989–2009*). Owo „oscyłowanie w stronę kultury westernowskich superbohaterów”, jak je nazywa współczesna artystka Zuzanna Janin⁴, pomimo całego znaczenia ironii gry z władzą, pokazuje również bliskość kryptokolonialnych tęsknot ukrytych w solidarnościowym micie⁵.

⁴ Odnoszę się do uwag z pracy doktorskiej Zuzanny Janin pod tytułem *Ostatnie zdanie o koniecznej rebelii*, przygotowywanej na Wydziale Sztuki Mediów i Scenografii Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

⁵ Na jakiś brak w nim wskazuje także specyficzna kolekcja ubrań polskiej projektantki Ewy Minge (*Solidarity*, wiosna–lato 2011), zainspirowana „Solidarnością”, powstała w 2010 roku w 30. rocznicę narodzin ruchu na Nowojorski Tydzień Mody. Minge zaprojektowała opatrzone logo „Solidarności” koszulki, dzinsy, torby, a nawet butelki i okulary przeciwsłoneczne. Proste klasyczne formy i rozpracowane graficznie napisy (np. logo na kodzie kreskowym) wskazują jednak na mentalną (i formalną) pustkę dziedzictwa „Solidarności”, a jej historia staje się reklamowym gadżetem, pustym wytrychem zwieńczającym „nieprzerobione”, nieprzemysłane, głębionowo nieprzetrawione polityczne zwycięstwo.

Najpełniejszy wyraz znajduje to na słynnym zdjęciu, na którym lider „Solidarności”, Lech Wałęsa, podpisuje porozumienia sierpniowe kończące strajk w stoczni w Gdańsku w 1980 roku ogromnym długopisem z wizerunkiem papieża Jana Pawła II, a w klapie marynarki ma wpiętą podobiznę Matki Boskiej Częstochowskiej. To wizerunek z gruntu sarmacki – na twarzy przyszłego prezydenta odznaczają się wyraziste wąsy, długopis przypomina szablę (prasa pisała, że „symbolizował jedność i wiarę narodu polskiego”), a Czarna Madonna obroniła już przecież raz Polskę przed potopem szwedzkim. Na fotografii tej ze zdwojoną siłą wraca sarmacki „dogmat przedmurza” – z perspektywy lat można go odczytać tak: naród polski mimo przeciwności historii podnosi walecznie głowę, broniąc przed „żywołem wschodnim” środkową Europę, w której się znajduje i której przewodzi.

Sarmacki stereotyp przestał być postrzegany jako wzór kultury wyższej i nabrał „swojskiego” wymiaru dzięki komunistycznym władzom, które „przemieszczonemu” społeczeństwu sprzedawały „na uspokojenie” mity dawnej narodowej wielkości à la Sienkiewicz. W roku narodzin „Solidarności” nastąpiło zjednoczenie z tym stereotypem – pisze współczesny krytyk kultury Przemysław Czapliński⁶. „Demokratyczna na wzór robotniczych wieców i szlacheckich sejmików, męskocentryczna i przeniknięta potężnym kultem maryjnym, oparta na negacji polityki, traktująca tradycję jako wartość samozwrotną i z tradycji wybierająca: katolicyzm, rodzinność, patriotyzm i umiłowanie wolności, Solidarność była zdumiewającym sojuszem nowoczesności i sarmatyzmu”. Uderza solidarnościowe, opisane przez badacza ruchu Sergiusza Kowalskiego, powszechne rozumienie polityki jako dziedziny brudnych „intryg i fałszu”, której potrzebę zanihilować może „wspólnota celu

⁶ P. Czapliński, *Resztki nowoczesności*, Kraków 2011.

i przejrzyste zasady moralne, oparte na miłości do drugiego człowieka i poszanowaniu Krzyża”... Dla solidarnych społeczeństwo spełniłoby się w wizji organicznej, „moralnie czystej” jedności spajanej „ahistoryczną” tradycją, która ma sama z siebie działanie regulujące. Odbija się tu sarmacka niechęć do antagonizmu, który jest narzędziem nowoczesnej polityki oraz niezdolność do wysunięcia interesu publicznego jako politycznego celu, w imię którego takie dynamiczne wartości, jak konsensus, różnica, negocjacyjność, są bardziej pożądane i stabilniejsze niż pasywne trwanie.

Brytyjski historyk i publicysta Timothy Garton Ash również zwracał uwagę na specyficzny synkretyzm tradycji politycznej myśli „Solidarności”, której ideały w dziedzinie kultury określał jako restauracyjno-konserwatywne. Gdyby, jak chce Jan Sowa, za współczesną ekonomią w procesie unowocześniania wyróżnić dwa poziomy: modernizację (dotyczącą sfery materialno-gospodarczej: przemysłu, infrastruktury, poziomu życia) i modernizm (który zawiera zarówno wartości estetyczne, jak i społeczno-kulturowe, związane z jednostkową wolnością i emancypacją), można by powiedzieć, że zarówno „Solidarność”, jak i wychodzące z niej elity przewodzące procesowi transformacji po 1989 roku skupiły się na **modernizacji bez modernizmu**. Obok gospodarczych reform rynkowych jedną z pierwszych politycznych decyzji lat 90-tych było ograniczenie praw kobiet (i ich wyparcie z solidarnościowej historii) i uprzywilejowanie roli Kościoła katolickiego w życiu społecznym (a więc m.in. zakaz aborcji i ograniczanie praw mniejszości seksualnych). Tak jak brakowało wizji nowoczesnej polityczności, tak i brakowało etosu uprawiania polityki.

Po klęsce rządów „Solidarności” okazało się, że sarmacki wzorzec patriotyzmu masowego triumfuje. Odgrzewany po raz wtóry, mógł on

powrócić tylko w jeden sposób: jako zwielokrotniony kicz patriotyczny. W tym porządku „solidarności sarmackiej” należy widzieć nie tylko tragedię smoleńską – śmierć prezydenta Kaczyńskiego wraz z całą niemal generacją i wieloma liderami politycznymi w katastrofie lotniczej w 2010 roku (uparte przywiązanie do celebrowania historycznych ran, ale i eksponowanie naszej tożsamości na Wschodzie). Należą do niego także takie drobiazgi, jak eksponowany rodowód szlachecki Kaczyńskiego (herbu Pomian), nie mniej starodawny niż ten, którym legitymizuje się jego polityczny oponent i następca, obecny prezydent Bronisław Komorowski (herbu Korczak)⁷. Obaj dawni szlachcice, polityczni adwersarze, kultywują mit „zgody” i „jedności narodowej” w sloganach wyborczych, którym przykrywają braki politycznych programów.

Zwulgaryzowany kicz patriotyczny jako fenomen wyobraźniowo spauperyzowanego w transformacji społeczeństwa wychwytuje również literatura. Jeden ze współczesnych pisarzy, Krzysztof Varga, pisze: „Dzisiejszy sarmata kradnie samochody i robi zadymy pod dyskotekami i na meczach piłkarskich. [...] Towarzysz husarski, potomek zwycięzcy spod [...] Wiednia, jeździ kradzionym bmw [...]. Kontuszem sarmaty jest błyszczący dres Adidas, z trzema legendarnymi paskami zamiast pasa słuckiego. Jego futrzaną czapką z piórem – kaptur od bluzy firmy Nike [...]. Jego wierną szablą kij baseballowy [...]. Kiedy wali z grzywki w nos, robi to w imię tradycji, owej

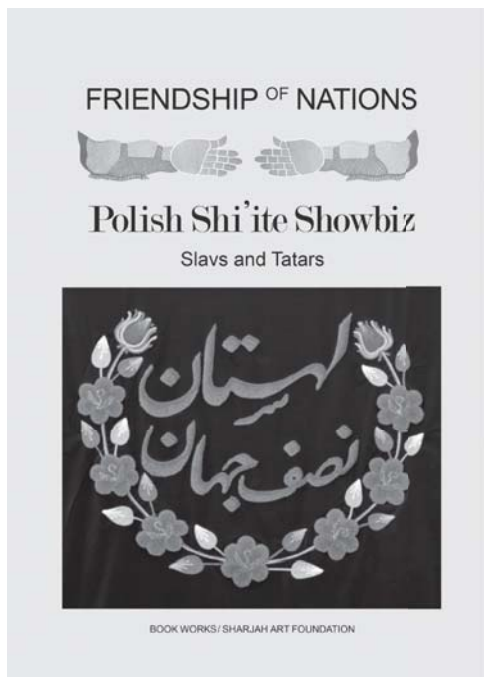
⁷ Zresztą on sam najdosłowniej, jak dowcipnie wskazuje Jan Sowa, „ze swym wąsem, wiejskimi rezydencjami, wielodzietną rodziną, jowialnością i zamięłowaniem do polowań jest jak żywcem wyjęty z ziemiańskiego dworku”. Hasłem Komorowskiego w kampanii wyborczej 2010 roku było zdanie „Zgoda buduje”, będące staropolskim przysłowiem. Pod tym zawołaniem mógł się podpisać i Kaczyński, bezustannie odwołujący się do mitu jedności (oczywiście chodzi o jedność bez inności: gejów, feministek itd.), choć faktycznie dzieli on polskie społeczeństwo jak mało który polityk.

BIBLIOGRAFIA:

- Tadeusz Chrzanowski, **Wędrówki po Sarmacji europejskiej**, Znak, Kraków 1988;
 Przemysław Czaplński, **Resztki nowoczesności**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011;
 Andrzej Friszke, **Anatomia buntu. Kuroń, Modzelewski i komandosi**, Znak, Kraków 2010;
 Maria Janion, **Niesamowita Słowiańszczyzna**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2006;
 Jerzy Jedlicki, **Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują: studia z dziejów idei wyobraźni XIX wieku**, PWN, Warszawa 1988;
 Mariusz Karpowicz, **Sztuka polska XVIII wieku**, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1985;
 Sergiusz Kowalski, **Krytyka solidarnościowego rozumu: studium z socjologii myślenia potocznego**, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2009;
 Dorota Masłowska, **Wojna polsko-ruska pod flagą białoczerwoną**, Lampa i Iskra Boża, Warszawa 2002;
 Shana Penn, **Podziemie kobiet**, przekł. Hanna Jankowska, wstęp Maria Janion, Rosner i wspólnicy, Warszawa 2003;
 Jan Sowa, **Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z formą**, Universitas, Kraków 2012;
 Janusz Tazbir, **Świat panów Pasków: eseje i studia**, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986;
 Krzysztof Varga, **Pizza Auschwitz**, [w:] Martin Pollack (red.), **Sarmackie krajobrazy. Głosy z Litwy, Białorusi, Ukrainy, Niemiec i Polski**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2006.

FILMOGRAFIA:

- Rok 1612, reż. Władimir Khotinienko, Rosja 2007,
 Wojna polsko-ruska, reż. Xawery Żuławski, Polska 2009.



ostoi bytu narodowego Polaków”. Sarmacka wersja kibica-nacjonalisty oscyluje między frustracją a agresją, kipiącą z nieprzepracowanej tradycji. Topos ksenofobicznego dresiarza w sarmackim wydaniu „odrodził się po 1989 roku jak narodowy Feniks” – przewrotnie konkluduje Czaplński. Utrwaliło go literackie objawienie – jedna z najgłośniejszych polskich powieści początku XXI wieku, napisana przez wówczas 19-letnią Dorotę Masłowską, *Wojna polsko-ruska pod flagą białoczerwoną*. To zapis przerażającego delirium dresiarza o pseudonimie Silny, ubranego w białoczerwony kostium polskiej reprezentacji sportowej. Powielając znakomicie przyswojoną sarmacką megalomanię i wschodnią fiksację, bohater Masłowskiej sięga poziomów absurdu, gdy rozwijając wódkowo-narkotykową retorykę, idzie walczyć z „Ruskim”. W ekranizacji powieści w reżyserii Xawerego Żuławskiego (2009) na końcu filmu Silny budzi się jakby w spełnionym śnie – na... osiedlu dworzków polskich z bielonymi gankami i kolumnami w wejściu. W ten sposób prymitywne marzenie o małej stabilizacji w świetle wielkiej tradycji, z której zostają same oksymorony (jak „osiedle dworzków szlacheckich”...), jest drwiną z transformacji.

Polacy są liderem przemian w Europie Wschodniej, ale pomimo wyższościowych (katolicko-moralnych) mitów sarmackich mają problem z tym ciężarem. Przegrali walkę o nomenklaturę (mówi się o „upadku muru berlińskiego”, a nie o „Okragłym Stole”), przegrywają walkę z modernizacją (mimo wzrostu gospodarczego młode pokolenia wciąż migrują na Zachód). Brak zaufania do polityki bije w sondażach rekordy – w sferze publicznej zatriumfowało znane z sarmackiej historii pieniactwo, upodobanie do maskarad, kompleks ofiary. Współczesna polska historiografia – w perspektywie długiego trwania przykładanej do rwanych nowożytnych dziejów polskiego państwa – zwykła afirmować romantyczny paradygmat niepod-

ległościowy. Obliczony on jest jednak bardziej na czasy kryzysu niż pokoju. Kilkanaście pierwszych lat transformacji ustrojowej po 1989 roku pokazało szybko, że choć mamy czasy wolności i pokoju, to paradygmat narodowej tożsamości jest w głębokim kryzysie.

Pośród transformacyjnych rozczarowań przede wszystkim nie wiadomo, jak przewartościować lekcję „Solidarności”, w jakim porządku ustawić pamięć o tym momencie rzeczywistej wielkości Polaków, jakim było obalenie komunizmu, by nie roztrwonić go na nowo w narodowym kiczu. Tym bardziej, że zwieńczający kult przeciętności sarmacki fantom czycha. Granica Polski z Niemcami, mimo rozszerzania Unii Europejskiej, odtwarzając podział na „cywilizację” i „barbarzyńców”, istnieje ciągle, jakby miała na zawsze znaczyć owo miejsce niczyje, świat drugiej prędkości. Spacerujący po ulicach Brukseli ubrany na złoto Paweł Althamer tylko ją utwierdza: Polacy, zamiast się „rządzić” (w politycznym sensie), znowu „paradują”, a folklor – jako obnoszenie postkolonialnej rany – jednak zwycięża. ●

Artykuł, który publikuję w mojej rubryce **Cover story**, napisałam do książki **Friendship of Nations. Polish Shi'ite Showbiz** wydanej przez Slavs and Tatars, Londyn 2013; w *Widmowym „Czasie Kultury”* zdecydowałam się przytoczyć go w całości. A. A.



Nawiedzani przez dym jest zbiorem esejów dotyczących literatury, sztuk wizualnych oraz problematyki społecznej. Wielowątkowe, niezwykle aktualne i atrakcyjnie napisane obserwacje z perspektywy Paryża, Brukseli i Warszawy pokazują, czym w dzisiejszym globalnym świecie jest dialog międzykulturowy i jak tworzą się wartości zjednoczonej Europy.

Agata Araszkiewicz łączy ogromną erudycję ze sprawnym i kompetentnym wykorzystaniem języków filozoficznych i teoretycznoliterackich. Na książkę składają się przede wszystkim felietony pisane od 2003 roku dla „Czasu Kultury”, a także kilka powstałych w ostatnich latach tekstów poświęconych najnowszej sztuce polskiej.

Agata Araszkiewicz, *Nawiedzani przez dym*
Biblioteka Czasu Kultury, tom 41

księgarnia wysyłkowa:

www.sklep.czaskultury.pl